

Popioły Equestrii

Rozdział 1

Autor: DJSzkłaż

Pre-reading: Lemuur

Korekta: Gandzia, Silma, Świeży rekrut

Było ciemno, choć Sandstorm przysięgłby, że jeszcze przed chwilą słońce niechętnie razowało go w oczy. Nie zmartwił się tą zmianą. Jak do tej pory była to chyba pierwsza, z której się cieszył. W tym zapomnianym przez Lunę śnie, przemiany z reguły nie oznaczały niczego dobrego. No cóż, ten wyjątek był tylko potwierdzeniem prawidłowości.

Sandstorm bez celu przemierzał zasypaną gruzem ulicę. Rozglądał się nieco znużonym wzrokiem po płonących kamienicach, stojących wokół niego. Czuł smród palonego drewna, tkanin i co najgorsze – mięsa. Do jego uszu dochodził niemiłkący wrzask uwięzionych w środku kamienic mieszkańców. Kiedyś pewnie popędziłby im z pomocą, ale nie tym razem. Zbyt często śnił ten sam sen. Wiedział, że nie uratowałby nikogo. Po drodze albo zostałby przysypany płonącymi i wypalającymi skórę deskami, albo zleciał wraz z walącą się podłogą na niższe piętro i tam zdechł przygnieciony kawałkami ścian. Zbyt dobrze pamiętał ten ból.

Jak przypuszczał, nie zabawiał na ulicy specjalnie długo. Spod kopyt Sandstorma wystrzeliła w powietrze czarna jak sadza chmura. W moment otoczyła go ciemność, przed oczyma pojawiły mu się plamki i poczuł, że spada. Leciał w niekończącą się otchłań. Ogarnęło go przejmujące, odbierające chęć do życia zimno, ciało przeszły dreszcze. Pojawił się w wielkim amfiteatrze. W uszy uderzył go wrzask tysięcy zgromadzonych kucyków. Była to olbrzymia budowla, wyrastała z ziemi na kilkadziesiąt metrów, przewyższając niemal dwukrotnie okoliczne kamienice. Fasadę pokrywały setki rzeźb, wbitych w podtrzymujące całą konstrukcję kolumny. Na większości z nich przedstawione były królewskie siostry, czasem jednak można było znaleźć pojedynczego jednorożca bądź pegaza, który za życia odznaczył się czymś dla Equestrii. Był więc Star Swirl Brodaty, generał Hurricane i wielu innych. I budowla z pewnością byłaby wspaniałym pomnikiem historii państwa, gdyby nie jeden znaczący szczegół. W całej tej masie posągów nie było ani jednego kuca ziemnego. Jakby ta rasa nigdy nie istniała.

Dla Sandstorma amfiteatr był symbolem wyższości innych ras nad kucami ziemnymi. Jedną wielką kpina z państwa harmonii i równości, jakim była Equestria. Właśnie w tym pomniku chorych ambicji tak zwanej Elity Canterlotu, próbującej zignorować dokonania najliczniejszej rasy kucyków, miało miejsce największe, od czasu wypędzenia Nightmare Moon, wydarzenie w historii całego kraju.

Na niewielkie podwyższenie, u stóp schodzących się trybun, otoczone tysiącami niecierpliwych kucyków, wszedł starzec. Był to czarny kucyk ziemny, o siwej grzywie i w pół wytłasiłym ogonie. Amfiteatr opanowała nieopisana wrzawa. Zgiełk z trybun niósł się daleko poza potężne mury, rozchodziły niczym fale po pobliskich ulicach. W niebo frunęły przerażone ptaki. Jakiś ogier obok Sandstorma zerwał z głowy czapkę i cisnął nią w powietrze. Podobnie uczynili zebrani obok i już po chwili nad całą budowlą unosiła się chmura, kolorowych, miotanych lekkim wiatrem nakryć głowy. Ktoś ryknął nagle imię starca. Amfiteatr przeszło skandowane przez tysiące kucyków: "Ranter! Ranter!".

Starzec odgarnął włosy z czoła i uniósł w górę kopyto, prosząc o ciszę. Zebrani umilkli jak na komendę. I gdy Ranter już miał przemówić, cały świat pociemniał. Sandstorm nie zdziwił się, nigdy nie było mu dane wysłuchać tej, podobno niemożliwej do opisania, mowy, ani podczas snu, ani wtedy, ponad półtora roku temu. Trzeba przyznać, że musiała to być niezwykle płomienna przemowa, skoro miała aż tak wielką siłę przebicia i zainspirowała tylu młodych mieszkańców Equestrii.

Czerń otulająca Sandstorma niby woda rozwiała się. Ogier znajdował się teraz na otoczonym blankami dachu kordegardy. W oczy uderzyło go ostre światło, w nozdrza duszny zapach podobny do tego z przemierzanej przed chwilą ulicy, a w uszy po raz kolejny wrzask setek gardeł. Miasto stało w płomieniach, ulicami biegły dziesiątki mieszkańców, szukających schronienia przed zabójczym ogniem.

Sen zbliżał się ku końcowi. U podnóża budynku kłębił się nieprzebrany tłum, wrzeszczący i wygrażający zamkniętym za murami strażnikom. Uzbrojeni w noże, siekiery, pałki czy bliżej nieokreślone kawałki drewna, mieszkańcy Canterlotu szczyrzyli zęby w nienawistnym uśmiechu. Miarowy stukot, wywołany prowizorycznym taranem, wypełnił powietrze. Kilku gwardzistów zaczęło głośno kląć, czekając na najgorsze. Nie musieli długo czekać.

Łup – drzwi blokujące wejście wypadły z zawiasów. Ryk wzmógł się. Kilkanaście kucyków wpadło do wnętrza kordegardy i rzuciło się na przerażonych strażników.

Czas się budzić – pomyślał Sandstorm. Przymknął oczy, nie chcąc oglądać dokonywującej się masakry i licząc na szybki koniec koszmaru. Nie czekał długo, niespodziewanie dostał czymś twardym po głowie. Przewrócił się, nie otwierając oczu. Coś pocięło mu po karku. Ból, potworny ból przeszył całe ciało, gdy jeden z napastników wbił nóż w jego brzuch. Ciemność zalała go niczym rzeka, porywając ze sobą wszechobecny huk i cierpienie.

Otworzył oczy. Wpatrzył się w rozpostartą nad nim żółto-niebieską, lekko zmarszczoną płachtę. Poczuł lekki powiew wiatru na twarzy. Spojrzał w stronę, z której dochodził. Materiałowe poły namiotu imitujące wejście tańczyły lekko pod coraz to nowymi podmuchami.

Świeże powietrze nieco ożywiło kucyka. Wstał z dość niewygodnej leżanki i podszedł do stojącego koło ściany, drewnianego stolika, na którym stała wypełniona w miarę czystą wodą misa. Z nieco pofalowanej tafli spojrzął na niego potargany brązowy kucyk ziemny z rozburzoną czarną grzywą poprzecinaną białymi pasemkami. Nad nieco krzywym uśmiechkiem malowała się okazała blizna. Tuż ponad nią płonęły żywe, czerwone oczy Sandstorma.

– Apple Fritter! – zawołał kucyk, nie podnosząc wzroku znad misy.

– Tak, panie generale? – Jak spod ziemi wyrosła obok młoda klacz o żółtawej sierści i zielonej grzywie. Wiecznie uśmiechnięta, nawet w tych smutnych czasach. Podobno była krewną Applejack, tej od Elementów Harmonii.

– Przygotuj wszystko, dziś najprawdopodobniej nie wrócę do namiotu. A jak będę miał trochę szczęścia, nie wrócę wcale – dodał ciszej.

– Tak jest! – zawołała uradowana klacz i pobiegła po rynsztunek Sandstorma.

Ciesz się, że służysz u mnie, inni to by ci tę radość szybko wybili z głowy – uśmiechnął się pod nosem. Mało kto potrafił w podobny sposób co Apple Fritter napełnić go od rana dobrym humorem.

Po kilkunastu minutach wyszedł z namiotu, odprowadzany uśmiechem klaczy. Uderzył go potężny podmuch wiatru, rozburzając niedawno przyczesaną grzywę. Oczy zasły mu łzami, gdy dostał się do nich wzburzony pył.

Usłyszał szcęk zbroi. To dwóch wartowników wyprężyło się jak struny przed swoim dowódcą. Mimo świecącego słońca było wyjątkowo zimno. Sandstorm, nie namyślając się długo, założył na głowę hełm. Wyposażony w specjalne ochraniacze na uszy oraz potężny czerwony pióropusz, z daleka wskazywał na generała wojsk equestriańskich. Na resztę oporządzenia składały się dość ciężka zbroja płytowa, podszyta od wewnątrz czerwonym materiałem, wysokie nagolenniki zakrywające niemal całe nogi, okazałych rozmiarów włócznia z naostrzonym końcem, przystosowanym do wbijania w ziemię podczas szarży przeciwnika i krótki żelazny miecz.

Ogier z zadowoleniem przyjrzał się okolicy. Jego namiot stał na niewielkiej górze, podobnie jak kwatery generał Lighting Contrail i Yellow Spark oraz generała Typhoona. W niewielkim oddaleniu obozowały księżniczki Celestia i Luna. Ich namiot był bodaj najwspanialszym jaki dane było Sandstormowi kiedykolwiek widzieć. Olbrzymi niczym dom, z wyhaftowanymi najważniejszymi wydarzeniami z historii kraju. W dole rozciągało się morze mniejszych namiotów, wyglądających z góry jak całkiem sporych rozmiarów miasto. Alejkami przewały się tłumy żołnierzy, klnących, śmiejących się i wrzeszczących wniebogłosy. Typowa pobudka 2 Armii.

Obóz podzielony był na cztery części. Pierwsza, przeznaczona dla dowództwa, znajdowała się na niewielkim pagórku. Trzy pozostałe rozciągały się poniżej. Po prawej strefa legionu jednorożców, po lewej legion pegazów, na środku jego cztery legiony ziemne.

Sandstorm z dumą spojrzał na swoich żołnierzy, a potem z politowaniem na strefy pegazów i jednorożców. W porównaniu z kucami ziemnymi ich obozy były żałośnie małe, panował w nich też dużo mniejszy ruch. Nie było to nic zaskakującego, w 2 Armii kucyki ziemne stanowiły dwie trzecie stanu. Jego dobry nastrój zepsuł nieco płonący na horyzoncie Canterlot. Czarny jak smoła dym unosił się wiele kilometrów w górę, psując widok idealnie czystego nieba.

Ze smutkiem spoglądał na miasto, w którym się wychował. Dawniej dumne, potężne wieże, wznoszące się prawie w każdym zakątku metropolii, beczelnie demonstrując potęgę i bogactwo stolicy, straszyły teraz osmalonymi ścianami i zapadniętymi dachami. Nawet stąd, ze szczytu niewielkiego pagórka, wiele kilometrów od miasta, widać było czarne smugi na białych niegdyś ścianach.

Tuż za granicą obozu przebiegał wartki potok, a kilkanaście kilometrów dalej majaczyły namioty przeciwnika. Wokół, niedostrzegalne gołym okiem, kręciły się kucyki. Tysiące kucyków. Jedni uzbrojeni w sprzęt zdobyty na oddziałach książęcych, inni w to, co zrabowali w Canterlocie. Umundurowanie też mieli przeróżne. Od zbroi paradnych, po wystrzępione kurtki, lekko podszyte twardszym materiałem. Niektórzy nie mieli na sobie zupełnie nic. Rebelianci walczący o utopijną wizję republiki, wyidealizowaną do granic możliwości przez niejakiego Eldest Rantera.

Lightning Dust ze złością naciągnęła brudny i lekko dziurawy koc na głowę, próbując ukryć się przed złośliwymi promieniami słońca, świeącymi prosto na jej pyszczek. Kilka sekund wcześniej jakiś drań rozpostarł poły namiotu i wrzeszczał teraz do środka jak nienormalny.

– A zamkniesz się wreszcie czy będziesz tak darł do śmierci!? – warknęła klacz. Krzyki wywoływały u niej nieznośny ból głowy. – Wypierdalaj i zasłoń wejście! – zawyła na niereagującego gościa.

– Co tam stękasz pijaczyno? – zarechotał kucyk podchodząc do leżącej Lightning Dust. Namiot był tak niski że nowo przybyły szorował czubkiem głowy po suficie. Pochylił się nad klaczą. – Zbiórka, za pięć minut na placu!!! – ryknął wprost do jej ucha.

Lightning zajęczała i zwinęła się w kłębek, próbując zasłonić uszy. Ból przeszył jej czaszkę. Kucyk wyszedł, a w namiocie zapanował lekki chaos. Pozostała piątka mieszkających razem z Dust pegazów, ewidentnie mniej skacowanych, zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Gdzie mój pancerz. – Czerwony pegaz zaczął przerzucać dobytek współmieszkańców w poszukiwaniu swojej zguby. – Dust, co z nim zrobiłaś?

– Nie ruszałam twojego... – zajęczała, wstając z posłania. – No, tego.... pancerza. Pewno w karty z kimś przegrałeś – zarechotała, ale szybko przestała, gdy jej głowę przeszył ból.

Klacz zaczęła szukać własnego sprzętu, co przez bałagan, który narobił przed chwilą jej kolega, było trudne.

– Kurwa, Red, musiałeś taki burdel zrobić? Teraz to nikt z nas nic już nie znajdzie. – Ze złością pokręciła głową.

– Hej, Red. – Żółta pegaz z czarną opaską na lewym oku wyrwała coś spod własnego posłania. – To nie twoje? Przespałam się na tym świństwie i, psiakrew, plecy mam sztywne jak cholera. – Rzuciła w stronę ogiera brązowym przedmiotem, który cudem ominął podnoszącą się głowę Lightning.

– Tak, to ten – mruknął pegaz zwany Redem. – Nawet nie chcę wiedzieć co tam robił, Sunny.

– Myślę że nikt nie chce tego wiedzieć – mruknęła Dust przywdziewając własny pancerz. – Lepiej się pospieszcie, powinniśmy być już na placu.

Szóstka kucyków wypełzła z namiotu na zakurzoną alejkę. Lightning zatoczyła się z bolesnym jękiem gdy ostre światło zakłuło w oczy. Jej miętowa sierść niemal od razu zszarzała od unoszącego się wszędzie wokół pyłu. Kichnęła i wzdrygnęła lekko całym ciałem.

– Piździ jak w Staliongradzie – warknęła Sunny, przecierając załzawione oczy. – Może być nieciekawie w powietrzu.

– Nie mów, że boisz się takiego wiatorku – zakpiła miętowa klacz.

– Nic takiego nie mówiłam, stwierdziłam fakt.

– Dobra, nie czas na ględzenie o niczym – wtrącił się dotąd milczący pomarańczowy ogier. – Chodźmy wreszcie na tę przeklętą zbiórkę.

Chcąc nie chcąc, grupka pegazów, klnąc i wrzeszcząc, ruszyła w stronę centrum obozu. Obok przelatywali co chwila pędzący w sobie znanym kierunku żołnierze. Głównie posłańcy niosący rozkazy do swych jednostek. Z namiotów wyłazili nieliczni legionieści i podobnie jak grupka Lightning Dust, kierowali się na plac.

Potężny podmuch sypnął w oczy miętowej pegaz pyłem, rozwiązał jej żółto-złotą grzywę. Byli w centrum obozu. Wokół sporej wielkości areny stały namioty dowódców

legionu pegazów. Na placu zebrały się już prawie wszystkie kucyki, pogrupowane w cztery turmae. Łącznie prawie sześć tysięcy żołnierzy. Wszyscy wpatrywali się w postać jakiegoś oficera stojącego na środku, na niewielkim podwyższeniu. Ogier próbował zagrzać do boju oddziały, co było kompletnie niepotrzebne. Legioniści jak mało kiedy czekali na bitwę. Miało to być pierwsze otwarte starcie z rewolucjonistami, na które czekano od ponad roku.

– No i się spóźniliśmy – warknęła Sunny. – Zajebicie. Jak któryś z centurionów nas zobaczy to będziemy mieli przesrane.

Szóstka pegazów zaczęła przedzierać się przez stojący w jakim takim porządku tłum, w stronę własnej jednostki, 16 turmai. Red torował drogę reszcie, przepychając się między setkami wrogo spoglądających żołnierzy. Ustawieni bok w bok legioniści byli przeszkodą wyjątkowo trudną do sforsowania.

– Tłok jak na odwiedzinach Celestii w Cloudsdale. – Lightning Dust potknęła się o nogę jednego z pegazów. – Red, daleko jeszcze ta nasza jednostka?

– Chyba nie, ale... – zawahał się. – O, już.

Najciszej jak potrafili, ustawili się w ostatnim rzędzie swojej centurii, akurat w momencie gdy nudziarz na podwyższeniu skończył swą płomienną mowę.

– Idealnie – uśmiechnęła się Dust. – Nie musieliśmy słuchać tych bzdur.

Ledwie wypowiedziała ostatnie słowo, wokół wybuchło zamieszanie. Dowódcy, przekrzykując się nawzajem, wydawali polecenia swym oddziałom, nie zważając na niejasność rozkazów w wszechobecnym rozgardzieszu. Kilku wzbilo się w powietrze i z góry ryczało komendy w stronę swoich żołnierzy.

– Centuria w powietrze! – rozległ się krzyk.

– To do nas? – Zdezorientowana Sunny pokręciła głową.

– Chyba tak! Lecimy! – Lightning odbiła się potężnie i poleciała w górę. – Nareszcie! Czas się zabawić!

– I jak, młody, gotowy na walkę? – Sandstorm usłyszał z lewej głęboki głos. Generał Typhoon, pegaz w średnim wieku, stanął obok. Jego szarą grzywę rozwał wiatr. Ogier wpatrzył się w oddalony obóz przeciwnika.

– Jak zwykle – mruknął ogier, niezbyt rad z jego obecności. – Mocny wiatr. Może utrudnić działania z powietrza – rzucił.

– Pff... Widać, że pojęcia o walce powietrznej nie masz – parsknął Typhoon. – Warunki są idealne, przeciwnik, może mieć problemy, ba, będzie je miał bez wątpienia. Dla moich żołnierzy nie jest to jednak żaden problem. Wiatr może okazać się decydujący dla tej bitwy...

– Wiatr? – Sandstorm popatrzył na starszego pegaza z kpina i niekrytą złością. Nie lubił tego typu. Zadufany w sobie, jak zresztą wszyscy przedstawiciele jego gatunku. *Kretyn myśli, że w pojedynkę wygra bitwę, bo przeciwnikowi wiatr w ryj powieje! Śmieszne.* – Nie zapominaj, od kogo do tej pory zależało zwycięstwo. Nie pamiętam, kiedy ostatnio twój legion powietrzny znacząco przechylił szalę zwycięstwa na naszą stronę! Jeśli dobrze pamiętam...

– No już, już, bo się spocisz – zakpił pegaz. – Do tej pory twoje ziemniaki jedyne, co zrobiły, to uganiały się po lasach w poszukiwaniu wymaginowanych partyzantów. To jest co innego. To będzie prawdziwa bitwa – dodał, robiąc minę dumną niczym Star Swirl Brodaty na niezliczonej liczbie posągów.

– Wymaginowanych partyzantów! – Sandstorm odwrócił głowę i po raz pierwszy tego dnia popatrzył na Typhoona. Z pewnością walory estetyczne starszego generała nie powalały. Wzrost nikczemny nawet jak na pegaza, nieco za duże uszy, przecinająca lewe oko blizna i paskudny uśmiezek były znakami rozpoznawczymi Typhoona. Jego uzbrojenie było niemal identyczne, różnicę stanowił jedynie wieńczący hełm zielony pióropusz. Czerwony ze złości Sandstorm posłał rozmówcy nienawistne spojrzenie. – Coś ci wyjaśnię, zasrany kurduplu...

– Cisza! – rozległ się donośny głos. – Zamknijcie się obydwaj, to nie czas na idiotyczne kłótnie.

Z pobliskiego namiotu wychynęła żółta klacz. Podobnie jak w przypadku dwóch ogierów, potężny wiatr od razu rozburzył jej starannie przyczesaną, fioletową grzywę. Widząc to, szybko nałożyła na głowę hełm. Podobnie jak u Sandstorma, zwieńczony był pióropuszem, w jej przypadku miał jednak kolor niebieski. Do tego z przodu sterczała sporych rozmiarów żelazna płyta chroniąca róg. Klacz mimo widocznego niewyspania i swych niedawnych słów miała całkiem przyjazny wyraz twarzy. Pewnie dlatego że, podobnie jak Sandstorm, nienawidziła Typhoona. A nazwanie tego ostatniego zasranym kurduplem mogło trzymać ją w dobrym nastroju do wieczora.

– Wy dwaj lepiej się ogarnijcie, zaraz może tu przyleźć jaśnie pani Contrail i pokazać, kto tu rządzi, ewentualnie objawi się któraś z księżniczek. Tak czy inaczej nie są to miłe perspektywy – zarechotała. – Choć ciebie, Typhoon, chętnie bym zobaczyła płaszcącego się przed nimi.

Pegaz zaklął paskudnie, a Sandstorm wykrzywił się w grymasie. O ile jeszcze reprimendę księżniczek zniósłby z pokorą, o tyle jakiegokolwiek upomnienie od Lighting Contrail uważał za obrazę honoru. Podobnie uważali zresztą wszyscy wyżsi oficerowie w armii, od trybuna wzwyż. Czyli w skrócie wszyscy dowódcy legionów oraz ich sztaby.

Lighting Contrail objęła dowodzenie nad 2 Armią niespełna dwa miesiące temu. W jednostce praktycznie nikt jej nie znał, jednak od razu pojawiły się podejrzenia o kolesiostwo z księżniczkami (co było notabene kompletnym absurdem) oraz przekupstwo. Kilku mędrców, głównie wieśniaków, którzy w wojsku po raz pierwszy ujrzeli latrynę, stwierdziło, że generał z pewnością posłużyła się czarną magią i opętała królewskie siostry. O dziwo, teoria ta znalazła wielu zwolenników, ignorujących całkowicie odporność księżniczek na podobne zaklęcia, bezsens tego typu działań oraz subtelność teorii, mianowicie braku rogu u Lighting Contrail.

Nie to jednak spowodowało nienawiść korpusu oficerskiego na biedną klacz, nawet nie fakt, że dowództwo nad jednostką przejęła kompletnie niezwiązana z nią osoba, a nie, jak wielu przypuszczało po śmierci poprzedniego dowódcy, wprawdzie młody, ale wyjątkowo zdolny Sandstorm. Problem był dużo poważniejszy. Lighting Contrail nie posiadała tytułu szlacheckiego, a według tradycji wysokie stanowiska wojskowe obejmować mogli tylko szlachetnie urodzeni. Wywoływało to u niektórych napady niekontrolowanej furii. Takim kimś był właśnie Typhoon, który nieodmiennie czerwieniał ze złości w obecności pani generał. Doszło nawet do kuriozalnej sytuacji, kiedy pegaz odmówił siedzenia przy stole razem z Contrail. Sandstorm nienawidził jej jeszcze z jednego powodu. Nie chciał się przyznać, ale podświadomie wiedział, że Lighting jest lepszym dowódcą od niego.

– Tylko by spróbowała, pieprzona chabeta – mruknął Sandstorm cicho, jakby ze strachu, że generał usłyszy jego słowa i spróbuje.

Yellow Spark zaśmiała się głośno i podeszła do ogierów. Stała po prawej od ziemniaka i lekko objęła go kopytem.

– I jak, spięty przed walką? – zagaiła.

– Trochę. – spojrzał klaczy w bursztynowe oczy. Uśmiechnął się. – Byłbym spokojniejszy, gdyby wywiad łaskawie poinformował nas o liczebności przeciwnika. – Zmarszczył nos z niezadowoleniem.

– Na pewno jest ich więcej niż nas – zapewniła klacz.

– I cóż z tego, to hołota, banda niewyżytych skurwieli z widłami, bez centralnego dowództwa, właściwie bez jakiegokolwiek dowództwa. – Typhoon splunął pod nogi. – Rozjedziemy ich w kilka godzin i wybijemy całej reszcie marzenia o tej *republike* – ostatnie słowo wypowiedział, jakby zobaczył właśnie generał Contrail.

– Nie lekceważ ich. Pamiętasz, co ta *hołota* zrobiła z canterlocką kordegardą? – warknęła klacz. – To gnoje, ale bić się potrafią.

Sandstorm skrzywił się na wspomnienie kordegardy. Nigdy nie widział osobiście tego, co tam zaszło, ale słyszał z opowieści, że grupa kilkudziesięciu rebeliantów zdobyła jeden z najlepiej strzeżonych budynków w mieście, zarżnęła około czterdziestu strażników, a ich

ciała nabito na pale wzdłuż ulicy. Po usłyszeniu tej historii co noc śniło mu się zdobycie wartowni i śmierć nieszczęsnych żołnierzy.

– Witajcie, moi drodzy. – Jego myśli rozwiął dostojny i ciepły głos Celestii. Trójka jak na komendę odwróciła się i pokłoniła księżniczce. Sandstorm nie cierpiał tego typu sformułowań. *Co ja, jej rodziną jestem, żeby tak się ze mną spoufalala?* – myślał za każdym razem. – Niedługo wyruszamy, mam nadzieję, że wszystko u was w porządku.

– Daj spokój, siostró, nie mamy teraz czasu na czczą gadaninę. – Zza pleców Celestii wychynęła Luna, która ku uldze Sandstorma przerwała pani słońca. Ogier preferował krótkie żołnierskie polecenia, które bardzo niechętnie wychodziły z ust Celestii. – Zaczekamy jeszcze tylko na generała Lighting Contrail i możemy wyruszać – powiedziała, po czym wysłała jednego z legionistów, by poprosił generała o przybycie.

Typhoon skrzywił się lekko, co nie uszło uwadze pani słońca. Z przykrością obserwowała niechęć, a czasem wręcz nienawiść w oczach żołnierzy, nieważne na którym szczeblu, do jej ulubionego generała. Jej najlepszego generała.

Cała piątka wpatrzyła się w przyszłe pole bitwy. Wielokilometrowa równina rozciągająca się stąd aż do umiejscowionego ponad sto kilometrów na zachód Canterlotu była wymarzonego miejscem na walkę. Na niebie nie było ani jednej chmury, co w znaczący sposób utrudniało rebeliantom zorganizowanie jakiegokolwiek zasadzki. Do tego ten wiatr z pewnością utrudnił przeciwnikowi poruszanie się w przestworzach.

Tętent kopyt dobiegł do uszu dowódców armii. *Oho, a ktoś to tak pędzi?* – Sandstorm uśmiechnął się drwiąco.

Do piątki kucyków dołączyła zdyszana klacz. Jej szarą sierść przykrywał podobny jak u reszty pancerz, a w kopytach trzymała kurczowo hełm z żółtym pióropuszem. Wiatr miotał różowymi kosmykami grzywy na wszystkie strony. Celestia i Luna obdarzyły nowo przybyłą uprzejmymi uśmiechami, Yellow Spark popatrzyła z niechęcią, a ogierzy nawet się nie odwrócili.

– Wybaczcie, że musiałyście czekać, wasze wysokości. – Klacz zmiotła po ziemi prawym skrzydłem we wzorowym pokłonie.

– Nic się nie stało. – Luna popatrzyła w niebo. – Mamy jeszcze trochę czasu.

– Mocno wieje – stwierdziła oczywisty fakt Lighting Contrail, stając tuż koło księżniczki Celestii, możliwie najdalej od niechętnych jej generałów. – Dobrze, bardzo dobrze – zamyśliła się.

Grupa stała jeszcze chwilę, wpatrując się w horyzont i koncentrując nad nadchodzącą bitwą. *Moje miasto* – pomyślała się Contrail. – *Sporo się zmieniło.*

Nie widziała Canterlotu od dobrych dwóch lat, odkąd przenieśli jej garnizon na północ, skąd później została ściągnięta do 2 Armii na miejsce jakiegoś starca, który kopnął w kalendarz. Po dyscyplinie, jaką zastała w armii po przybyciu, wnioskuje, że nie był to wybitny dowódca. Żołnierze nie znali połowy komend, oficerowie mieli gdzieś zalecenia co do dowodzenia swymi jednostkami, a generałów bardziej niż dobra kondycja oddziałów interesował cydr. Tyczyło się to przede wszystkim, ku przerażeniu Contrail, trójki najwyższych dowódców, którzy teraz dumnie wypinali piersi, patrząc z pogardą na przeciwnika.

Typhoon poruszył się niespokojnie, wyciągnął lunetę i przyłożył do oka.

– Wychodzą – mruknął do siebie, po czym dodał już dużo głośniej – Wasze wysokości, wróg wyszedł w pole.

– Doskonale – ucieszyła się Yellow Spark.

– Dobrze. – Celestia pokiwała głową. – Czas wyruszać, zbierzcie żołnierzy. Generał Lighting Contrail, przekazuję ci całą odpowiedzialność za losy bitwy.

Klacz pokłoniła się głęboko i ruszyła, prowadząc niechętnych jej obecności dowódców. Grupka doszła na niewielkie skrzyżowanie ścieżek. W prawo prowadziła do części obozu zamieszkanego przez jednorożce, w lewo do pegazów, środkowa do kwater kuców ziemnych.

– Dobra. – Klacz zmierzyła swych podkomendnych groźnym spojrzeniem. Nie znosiła ich serdecznie, podobnie jak wszystkich szlachetnie urodzonych. Może z wyjątkiem księżniczek. – Wszystko wczoraj ustaliliśmy i pamiętajcie, ŻADNEGO wyrzynania jeńców. Bo mnie popamiętajcie.

Z takim podejściem zaraz polecisz ze stanowiska – rozmarzył się Sandstorm.

Zasalutowała niechętnie i odeszła do swojego sztabu. Typhoon oddał salut na odczep i uśmiechnął się paskudnie. Sandstorm wiedział, co to znaczy. Drań nie miał zamiaru wziąć jakiegokolwiek jeńca.

– Dobra panowie, powodzenia. – Yellow Spark popatrzyła po swoich towarzyszach i w mało generalski sposób przybiła kopyto. Po chwili podobnie pożegnały się ogiery.

Sandstorm pogalopował do obozu swoich żołnierzy. Po drodze minął kilka salutujących mu kucyków. Po bokach pojawiły się pierwsze namioty, w powietrzu rozchodził się wrzask wydawanych komend i pył wzbudzony tysiącami kopyt. Generał wpadł na sporej wielkości plac na środku obozu. Zaraz otoczyło go kilku oficerów ze sztabu jego zgrupowania. Wszyscy byli gotowi do wymarszu, czekali tylko na rozkaz dowódcy.

Na równym niczym stół polu rozłożyły swe skrzydła dwie armie. 2 Armia generała Lighting Contrail na wschodzie, przybywająca prosto z Canterlotu armia rebeliantów na zachodzie. Pozbawione centralnego dowództwa wojska buntowników były fatalnie przygotowane do bitwy. Na kilka minut przed starciem najsilniejsze było prawe skrzydło, zaś na środku panował chaos, ponieważ nie wszystkie oddziały zdążyły dotrzeć na swoje miejsce. Część nie zdołała nawet opuścić obozu, inni pogubili swoje jednostki, a część profilaktycznie postanowiła zdezerterować. Lewe skrzydło praktycznie nie istniało. W podobnie dramatycznej sytuacji były oddziały powietrzne, które ze względu na huraganowy wiatr nie były w stanie wystartować.

Tymczasem na wschodzie 2 Armia rozwinęła się prawie bez przeszkód. Na samym środku legion jednorożców generała Yellow Spark, flankowany przez dwa legiony kuców ziemnych. Po lewej stał 1 Legion „Manehattan”, po prawej 3 Legion „Harmonia”. Dalej na prawo, dokładnie naprzeciw nieistniejącego lewego skrzydła wroga, rozłożył się legion pegazów generała Typhoona, gotowy przeprowadzić druzgocące uderzenie na niezorganizowaną bandę.

Lewe skrzydło 2 Armii, stanowił doborowy 2 Legion „Wielka Equestria” złożony z najlepszych, zaprawionych w boju kucyków. W odwodzie pozostawał jeszcze 4 Legion „Solar”, o którym chodziła jakże prawdziwa opinia, że był wiecznie pijany.

Wpatrzona w siebie oddziały czekały już tylko na rozkaz do ataku.